

Anioł Stróż, czyli ostatnia nadzieja tonącego

MICHAŁ GOŁUBOWSKI

Nadzieja może pomóc, ale może też niszczyć. Jest coś, co potrafi mną kierować, wyręczać. Może mnie rzucić w przepaść, lub też z niej wyciągnąć. Pozostaje mi tylko wierzyć, że prowadzi mnie dobro, a nie zło i że granice tych dwóch pojęć w końcu przestaną mi się płatać. Że wszystko okaże się wyraźne – białe albo czarne.

Od tego, jak bardzo jesteśmy w stanie zaufać i uwierzyć, zależy będzie problem możliwości uwolnienia się od tej nachalnej i obezwładniającej myśli, odczepienia się od niej. Jak to możliwe, że zawsze znajdzie się ktoś, kto złapie za rękę. Myślę: dosyć bycia nianczonym! Koniec z pytaniem się o wszystko. Czas na własne życie.

Zaczyna się wielkie zbrojenie. Mundury, siatki ochronne, czyszczenie strzelb i bagnetów. Kamuflaż, trening, wielogodzinna marszruta. Potem odbieram sobie cel i ustalę plan ataku – a przede wszystkim plan obrony, ponieważ wiem, na pół podświadomie, że będę musiał się wycofać. Zaczyna się piekło. Atak: godzina dziewiąta, wyskakuję z zamaskowanego okopu potykam się o wystający korzeń, tracę równowagę i padam na ziemię. Kula liźnęła mój policzek. - Uff, mało brakowało, a byłbym martwy. Powstań!!! Jest siedem po dziewiątej. Kolejna próba zdobycia się na wysiłek, który kosztuje mnie następny kilogram odwagi. Bitwa trwa. Z oddali słyszę przeciągłe wycie rannych żołnierzy i chaotyczne krzyki sanitariuszy. Błkot wydawanych komend i kurz mieszają się w jedną niematerialną całość, magmę wypełzającą do uszu, oczu i nosa. Nagle nadchodzi mnie myśl, że mógłbym z tym wszystkim skończyć i po prostu się położyć. Tak po prostu – walnąć się na ziemię i zasnąć. - To jest dobry plan – słyszę szept. - Podaj mi rękę i wszystko będzie jak najlepiej – mówi.

Rezygnuję. Rezygnuję z wypoczynku. Wstaję, jest już prawie dziesiąta. Poprawiam hełm i idę się wykapać. Puszczam wodę. Najpierw trochę ciepłej, potem zimną i już jestem pod strumieniem. Mydło w płynie czy tradycyjna kostka? Jednak w płynie, bo ładniej pachnie – no i jest *for men*. Cóż, takie są kryteria prysznicowych kąpieli: tradycja wraca na swoje stare miejsce, a modom zostaje na wierzchu, będzie odtąd pod ręką. Plusk i śpiew dochodzą zza fioletowej poliesterowej zasłonki; zapach enerdyj rozchodzi się po całej łazience, która pomału zaczyna tonąć w kłębach pary i piany. Teraz najgorsze, bo trzeba się wynurzyć, narodzić i stanąć bosymi stopami na zimnej terakocie. Ręcznik w pogotowiu – cholera, wisi jednak trochę za daleko. Może poprosić, może zawołać, by ktoś przyniósł nowy, suchy i ciepły.

Baczność!!!

Jeżu! Dochodzi wód do. Na jeszcze nie do końca suche ciało zakładam majtki i koszulkę, zawiązuję buty, poprawiam włosy, wybiegam na górę. Resztę ekwipunku mam pod pachą. Ogólna panika, a właściwie chaos. Irlandczycy zamknięci pod pokładem, w drodze po lepszą przyszłość, teraz modlą się, ażeby wrócić do domu w jednej chwili. Państwo z pieskiem ubierają swoje eleganckie wieczorowe stroje, kapoki z mnóstwem sznurków i otworów. Dwa pokraczne stwory rzucają się w kierunku szalup, na których

siedzi już nadkomplet pasażerów. Lina urywa się i wszyscy spadają w czarną jak beczka smoły przepaść. Wychyłam się za burtę, widzę ludzi tonących i zamarzających w wodzie. Reszta jeszcze żyje, bo są na dziobie. Dopiero teraz czuję strach i widzę, że jestem prawie nagi w gaciach, koszulce, zawiązanych butach. Nie ma wyjścia, skaczemy. Teraz? Tak, teraz!

Wieje wiatr i nie czuć tego ohydne-go przyciągania ziemskiego. Można machać nogami i wiadomo, że się nie spadnie, bo nie można spaść skoro się już spada. Rozglądam się i widzę nogi, ręce, potem znowu ręce, a potem znowu nogi, każdą kończynę oddzielnie, w tempie żółtich kroków. Jest noc, prawie dwudziesta pierwsza, pora usiąść przed telewizorem i pooglądać świat razem z panią od kosmetyczki i fryzjera. Może jednak wraz z panem w szykownym garniturze popatrzeć na masakrę bombową w Iraku? 2546 tys. nie żyje, jest też dwóch rannych, jeden do zera dla Wisty na wyjeździe – no, to już znacznie lepszy wynik, tylko bramkarz oberwał w jaja.

Wracam, poruszam się, wracam. Wypluwam parę nieudanych wersów i znowu wracam do myśli, które potrafią mnie tygodniami dręczyć, nie dawać spokoju. Gdzie się podziały te wszystkie gawrony, które obserwuję już prawie od dwóch lat? Była zima i na trawniku zasypałym śniegiem pojawiały się czarne ptaszyska, z wielką gracją wydziobywały spod lodu kawałki zamrożonego chleba i czegoś tam jeszcze. Kiedy zaczęło być trochę ciepłej, gawrony stwierdziły, że chyba lepiej na tory się przenieść, no, tak mi się w każdym razie wydaje. Albo jeszcze inne myśli – co prawdziwy mężczyzna powinien – o, to jest dopiero myśl. Cholera, chyba powinien wszystko, więcej, niż chłopak albo kobieta razem wzięci. Albo powinien nic nie robić, chodzić, miny robić do wszystkich nie-mężczyzn, pokazywać nieogolone nogi młodszemu kolegom, łapać kobiety spojrzeniem za tyłek bądź piersi – taki powinien być facet. Mądry i głupi. Szlachetny – i szła i chętny. Odważny i ważny. Przystojny, a czasami tylko przystrojony. Nie wiem. Nie pytałem o to nigdy nikogo, tylko rzucałem się od razu na sam środek morza. Dopiero później uszyłem się pływać, najczęściej nie wychodziło mi i tonąłem w odmętach bezkresnych głębin ludzi z prawdziwego świata. A wystarczyło przecież tylko rękę wyciągnąć, wystarczyło zawołać o pomoc, a już ktoś tam na pewno by koło albo kamizelkę podał. Ale nie. Duma Narodowa.

Jednak jest czasami tak, że wstajesz rano i ktoś mówi: „Dzisiaj jest w miarę dobrze, ciśnienie bez zmian, w nocy na Podlasiu minus trzy, a na Wybrzeżu około zera. Wiatr zmienny, przelotne opady, ciśnienie w normie”. Wtedy już wiadomo, że do kościoła nie trzeba iść, bo tak czy siak ktoś nas mocno otulił i zapiął po samą szyję dobrym humorem, bez którego nie można żyć. Podobno nie byłoby życia bez światła, ani życia tylko ze światłem, bez plamki cienia. Zastanawiam się, jak można wytrzymać mieszkając gdzieś na północy świata, w Islandii na przykład. Jakie to musi być dziw-

ne. Chyba na tej wyspie ludzie śmieją się z czegoś całkiem innego, niż my i kochają jakoś tak bardziej do środka, wierzą w polarnego boga, który im całe życie świeci, w dzień i w nocy. Kościoły ze śniegu i oczywiście drewniane też pewnie są, na brązowo pomalowane, z wieżyczkami szpiczastymi i galerią schodów. Ksiądz na białym, w konfesjonale spowiada z grzechów czarnych i myśli nieczystych, aż trzeszczą sopte wiekiuste pod dachem gontem krytym. A gdzie się chowają ci ludzie, jak źle im na świecicie? Pod śniegiem się zasypują pod lodem kryją? Czy opinają się ciałem swojego drugiego ja-ty? I leżą godzinami w łóżku zamknięci w osobnym pokoju z małym okienkiem, przez które mogą tylko zobaczyć, czy to noc jest, czy może dzień, leżąc, popijając wódkę lodową w skórzanym rękawiczkach. Nadzy i biali.

Potem zapadają w sen wielorybi.

Śnią o ciepłych krajach i palmach. O kokosach na stole, o bananach i o plażach nagranych i złotych. O ludziach czarnych i bosych, którzy, jak oni, białe zęby mają i ręce. Tak śnią, a potem budzą się we śnie i mamroczą w nie swoich językach zaklęcia z innej wyspy.

Język urzędowy – islandzki
Stolica – Reykjavík
Ustrój polityczny – republika
Głowa państwa – prezydent Ólafur Ragnar Grímsson
Sześć rządu premier – Halldór Ásgrímsson
Powierzchnia – całkowita
Wody śródlądowe – 107. na świecicie – 103 125 km², 2,7%
Liczba ludności całkowita (2006)
Gęstość zaludnienia – 177 mieszk./km²
Niepodległość od Danii: 1 grudnia 1918 (pozostała w unii) 17 czerwca 1944 (ogłoszenie republiki)
Jednostka monetarna – korona islandzka (ISK)
Hymn państwowy – Lofsöngur
Kod ISO 3166 IS
Domena internetowa – is
Kod samochodowy – IS
Kod telefoniczny +354

To koniec.

A gdzie my jesteśmy?!

W barze szybkiej obsługi na przedmieściach Dublina, około trzydziestu kilometrów od stolicy. Godzina dwunasta, a kolejka chłopców i dziewcząt w szkolnych uniformach rośnie przed ladą włoskiego fastfoodu, zresztą jedyne otwarte o tej porze w Kildare. - *Next please!* – krzyczy dziewczyna w czarnym stroju z czarną bejzbolówką na głowie. Leci cola, a za nią hamburger. Bar wypełnia się po brzegi, kipi od pogaduszek i śmiechów. Wszyscy dobrze się bawią, bo o to przecież chodzi – *Enjoy your meal*. Fruwają szare torebki po chipsach, a resztki zarcia leżą porozwalane po stołach i na podłodze. Kałuże keczupu, rozsypana sól, powywracane krzesła. To wszystko wygląda jak kadr z filmu typu spaghetti western – a jednak się dzieje. - *Hey kid!* – krzyczy jeden z obsługi baru.

Chłopaki ze stolika pod oknem zrywają się i łapią za pas. Chwila ciszy i zastanowienia. Promyk słońca odbity



w oprawionym lustrze zawieszonym na ścianie oświeca jednemu z nich twarz. Zaczynają się klócić, aż w końcu jeden odsuwa barowe krzeselko i zdecydowanym krokiem podchodzi do countera, mierząc spojrzeniem innych gości.

- *What was yours?* – pyta sprzedawca. - *Just a milkshake, please* – odpowiada mały.

Jest lato, a ciężkie białe chmury nisko zawieszono nad głową przypominają nalot zeppelinów, nie jesteśmy w Polsce. Wszyscy znajdujemy się tam, gdzie chcieliśmy być, zanim się znaleźliśmy, w miejscu, o którym mówili nam znajomi i przyjaciele. Ludzie, którzy już tutaj są bądź zaraz przyjadą, żeby trochę popracować, zarobić, może od czegoś uciec, znaleźć białą kartę z miejscem na nazwisko i zawód. Tak naprawdę nie ma wielkiego wyboru: zmywanie, sprzątanie, gotowanie i narzekanie na to, jak nas tu traktują, bo przecież tam, skąd pochodzimy, ludzie mają do siebie trochę więcej szacunku. A kielbasa – prawdziwa kielbasa sucha żywiecka i chleb świeży. Czasami ktoś z kraju wódkę przywiezie, to można razem na umór pałę zapić i ze smutkiem wspominać to, czego tak naprawdę nie chcielibyśmy już więcej na oczy widzieć. Piwo od święta, ale nie w pubie, za drogo. Lidel jest tani, a przecież nie najgorszy i do tego wszyscy polscy znajomi tu przychodzą na zakupy. Obsługa za kasą też polska, więc bez problemu możemy się dogadać i pogadać.

Piątek. Młodzi irole – jak to pogardliwie mówią o swoich gospodarzach polscy goście – wylewają się grupami pięćosobowymi na ulice, wrzeszczą i śmieją się na całe gardło. Muzyka prawdziwych folkowych zespołów rozchodzi się z pubów przez malutkie, lekko uchylone okienka, przez które widać, jak szczerline wypełniony lokal bawi się i pije. Pełno tu dziewczyn w obłędnie niedopasowanych do swoich rozmiarów sukienkach i koszulkach, ledwo trzymających się na nogach. Kobiety w tym kraju potrafią więcej wypić i zjeść, niż niejedyn facet – tak już jest i chyba dobrze.

Sobota. Wyspa się bawi. Scenariusz ten sam i ten sam repertuar.

Niedziela. Kończy się o trzeciej nad ranem wielkimi pożegnaniem i obietnicami przyszłych niedziel.

Wracam do domu i idę spać – koniec pracy.

Wczoraj rozmawiałem z moją mamą. Zmarła mi babcia. Była starsza od Karola Wojtyły, więc, gdy dzwoniła do nas, wołałem matkę do telefonu krzycząc, że papież dzwoni. Słabo słyszała i była chora na cukrzycę, ale temperament – jak tygrysa. Pozostało uczucie pustki w jeszcze bardziej pustym miejscu.

Ludzie odchodzą pozostawiając po sobie tony wydychanego powietrza,

złe wspomnienia, żale i rany, samotnych Aniołów Stróżów i miękkie, pachnące piżamy, numery telefonów głuchych i skarby w koszyku, jak amulety najcenniejsze, nici i igły do czerowania skarpet. Pozostają w nas, a my staramy się pamiętać o nich zafiksować w innych, którzy bezmyślnie o pustym miejscu zajmują, gadaniną wypełniają i brakiem szacunku.

Jest niedziela w Wejherowie, ludzie pięknie ubrani pędzą do kościoła, ciągną za sobą pociechy, które teraz nie mają odwagi odmówić i się zatrzymać, bo wierzą. Msza zaczyna się zaraz, więc nie wypada się spóźnić, nie wypada wpaść i zamieszania narobić, poza tym jakieś miejsce trzeba zająć w rzędzie. Dzieci nie mogą doczekać się końca, bo i kękały już parokrotnie i śpiewały piosenki o baranku, a wiadomo, że po kościele na lody, do ciukami na rynku, z rodzicami się chodzi. Tato na piwo, a mama na ciastko. Parasoli wprawdzie nie ma, ale są drzewa, które świetnie sobie poradzą z nadmiarem słońca na twarzach, ciastkach i lodach. Starsi siedzą wokół rynku na brązowych ławkach w białe kropki, a raczej kleksy ptasie. Dyskutują i mamroczą słowa w dwóch językach naraz, co chwilę poprawiając słomkowe kowbojskie kapelusze. Jest niedziela i wszystko wiadomo. Wieczorem jakiś film w telewizji, albo teleturkiem z gwiazdami, normalnie, rodzinie, we czworo. troje albo tylko sami we dwoje, potem tylko trzeba przygotować się już na najgorsze.

Pamiętam, kiedyś opowiadał mi pewien znajomy, że po bardzo długim czasie poszedł do kościoła wypowiedzieć się. Sytuacja go do tego zmusiła; nie jest to osoba wielkiej wiary, ale dla zaszczytu, jakiego dostąpił stając się ojcem chrzestnym, nie pozostało mu nic innego, jak szczerą spowiedź. Traf chciał, że akurat natknął się na osobę w konfesjonale, do której nie przemawiała wątpliwość, z jakimi on od dawna się nosił i jakie go trapiły. Z wielkim krzykiem wyleciał zbulwersowany ksiądz, łapiąc swoją owieczkę za kurtkę i ciągnąc na zakrystię. Rozpętała się wielka kłótnia, w której starszawy już duszpasterz starał się namówić mojego znajomego na wiarę, sugerując, że nie są to wyścigi na żużlu i do kościoła należy przychodzić codziennie. Rozgrzeszenia znajomy nie dostał, a termin był już na progu, więc nie zastanawiając się długo poszedł do drugiego kościoła. A tam bez kolejki, bez kłopotu, bez szarpaniny i krzyku, usłyszał stukanie palcem w drewniany konfesjonał. Potem, kiedy spotkał się jakiś czas po tym zdarzeniu, zapytał mnie:

- To ilu mamy bogów w naszej religii chrześcijańskiej?

- Jednego w kościele na Gomółki, a drugiego w Brętowie – odpowiedziałem.